Wydawnictwa rok VII
Dnia 7 kwietnia 1929 roku.

Nr. 292

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

UBIEGŁY TYDZIEŃ W POLITYCE I LITERATURZE

NIEDYSKRECJE:

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

Redakcja: Warszawa, ulica Szpitalna 1, telefon 282-54.

NIEDYSKRECJE

ZMIANA GABINETU stała się w ubiegłym tygodniu osią zainteresowania sfer politycznych i niepolitycznych. Czegóż to nie przewidziano i nie zaprojektowano, jakich nie wysuwano możliwości. Faktem zaś było i jest jedno, że nikt nic konkretnego o postanowionej zmianie gabinetu nie wiedział. Gdybyż taka zmiana gabinetu dokonywała się w czasie władzy owych sfer politycznych, które tak się obecnie denerwują, że dymisji rządu jeszcze niema! Kuluary sejmowe wrzałyby od gwaru, pod parą nieustannie stałyby parowozy pogotowia grup politycznych, by wjechać, gdy sygnał wjazdu się podniesie. A ścisk na zwrotnicach byłby, jak zawsze groźny i katastrofą grożący. Tymczasem obecna zmiana gabinetu dokonywa się w atmosferze spokoju. Ścisku niema, bo wiadomo, że reklama i przekrzyczenie drugiego i licytacja choćby pod najbardziej programowo haftowanym sztandarem, na nic się nie zda. Ścisku niema, bo to będzie, co być ma. Ktoś wielki, ktoś troskliwy, a najbardziej sprawiedliwy przemyślał i przepracował sprawę pożytku powszechnego i celowości dalszej pracy i do warsztatu jej powzie ludzi wartościom tego warsztatu odpowiadających. W tej sytuacji trudno mówić o kryzysie gabinetowym, — dźwięk ten tak słodko brzmiący dla ucha wiecznych do foteli ministerjalnych kandydatów, obecnie stracił swój sens. Kryzysu niema. Może być zmiana ludzi, nie wartości i nie celu. Kierunkowa pozostaje nienaruszona. Tempo marszu może być silniejsze, żywsze lub powolniejsze; droga jednak ta sama. I przeto, gdy tak wielu oczekuje niespodzianek, — oczekuje ich starym zwyczajem, zapominając, że treść rzeczy niespodzianek nie daje, a forma — forma o rzeczy nie decyduje.

* * *

POGRZEB MARSZAŁKA FOCHA stał się potężną manifestacją braterstwa broni byłych aljantów. By oddać hołd zmarłemu generalissimusowi wojsk koalicyjnych, przybyły do Paryża delegacje wszystkich armij, które w latach 1914-1918 walczyły przeciw państwom Centralnym. Przybycie króla belgijskiego, obecność licznej reprezentacji brytyjskiej, składającej się z czterech marszałków polnych i admirała Beatty z księciem Walji na czele, udział naczelnego dowódcy armji amerykańskiej, gen. Pershinga, wielu generałów b. armij sprzymierzonych, żywo przypomniały dzieje gigantycznych walk wojny światowej. Nawet dawni nieprzyjaciele umieli ocenić rolę zmarłego marszałka Focha, podkreślając rycerskie stanowisko, zajęte przezeń w chwili podpisywania rozejmu. Foch żądał wiele od pokonanej Rzeszy Niemieckiej, ale nie więcej, niż wymagały względy bezpieczeństwa wojennego i zapewnienia koalicji owoców zwycięstwa. Niemcy z uznaniem podnoszą obecnie, że marszałek Foch nie dał się unieść zaślepieniu zwycięstwa, dążąc przedewszystkiem do zaprzestania rozlewu krwi.

* * *

CHINY SĄ W PRZEDEDNIU NOWEJ WOJNY DOMOWEJ. Obudzony z tysiącletniego letargu kraj Żółtego Smoka od dwudziestu lat nie może zaznać spokoju. Zdawałoby się, że zeszłoroczne zwycięstwo wojsk narodowych, zakończone zdobyciem Pekinu i śmiercią Czang-Tso-Lina, wniesie uspokojenie. Poddanie się syna reakcyjnego generała Czang-Tso-Lina rządowi nankinskiemu oznaczało wówczas zakończenie wojny domowej. Wyłoniony przez Kuomintang rząd rewolucyjny, lawirując ostrożnie między ambicyjkami powstańczych generałów, jednocząc wszystkie żywioły narodowo - chińskie od umiarkowanych do skrajnie lewicowych, przystąpił do wewnętrznej konsolidacji kraju, do naprawy szkód, wyrządzonych życiu ekonomicznemu Chin przez długotrwałe walki wewnętrzne. Jedności w rządzie nie było. Stworzyć ją miał dopiero ostatni zjazd Kuomintangu, na którym dzięki umiejętnemu „dobraniu" delegatów, szef rządu i przywódca umiarkowanych nacjonalistów, generał Cziang-Kai-Szek umiał zapewnić sobie przeważającą większość głosów. Komunizująca lewica Kuomintangu, posiadająca poważne wpływy w Hankou, w Szanghaju i w Kantonie, w obawie represyj nie nadesłała swych delegatów do Nankinu. Jakoż przewidywania komunistów chińskich nie były bezpodstawne, skoro z rozkazu Cziang-Kai-Szeka ścięty został jeden z przywódców skrajnego lewego skrzydła Kuomintangu, gubernator Kantonu Li-Czi-Sen, który udał się do Nankinu celem pertraktacyj z rządem centralnym. Wywołało to zrozumiały odruch na południu Chin, grożąc lada dzień wybuchem akcji zbrojnej przeciw Nankinowi. Z drugiej strony piętrzą się trudności rządu narodowego wskutek niezdecydowanej postawy wielu generałów prowincjonalnych. Słynny „chrześcijański" generał Feng-Hju-Hsiang, wręcz odmówił posłuszeństwa Nankinowi, składając w przeddzień zjazdu swój urząd (bardziej tytularny, niż rzeczywisty) ministra spraw wojskowych. Sądząc z dotychczasowej działalności generała Fenga, przypuszczać należy, że niezadługo wystąpi on zbrojnie przeciw władzom centralnym. Z niepewnej cytuacji skorzystał narazie reakcyjny generał Czang-Czung-Czang, najgorliwszy współpracownik zmarłego Czang-Tso-Lina. Na czele zebranych w Mandżurji niedobitków „armji północnej" generał ten rozpoczął walkę z Nankinem, okupując — prawdopodobnie nie bez ukrytej pomocy Japończyków — Cze-Fu i posuwając się na południe. Setki tysięcy zwolnionych z wojska żołnierzy wszelkich formacyj, miljonowe rzesze bezrobotnych i wykolejonych przez wojnę do[illegible]ną mieszkańców Chin stanowią w obecnej sytuacji łatwopalny materjał, grożący wybuchem.

PARADOKS DYKTATURY FASZYSTOWSKIEJ

Nowa Izba włoska, niewiele mająca wspólnego z tem, co zwykliśmy nazywać parlamentem, wybrana została przez aklamację w składzie, zaakceptowanym przez Najwyższą Radę Faszystowską. Trudno bowiem uważać ten sui generis plebiscyt, który odbył się we Włoszech 24 marca b. r. za wybory. Do walki stanęła tylko... jedna lista kandydatów, w liczbie 400, którą rząd polecił narodowi, jako jedynie godny zespół prawomyślnych i wiernych regime'owi obecnemu reprezentantów. Niezadowoleni z niego mogli najwyżej powstrzymać się od głosowania, nie mając możności wystawienia swych własnych kandydatów. Oczywiście, w tych warunkach wynik wyborów niepodobna nazwać zwycięstwem wyborczem faszyzmu w ścisłem znaczeniu tego słowa. Pierwszym warunkiem takiego zwycięstwa musiałyby być równe szanse współzawodników, o czem we Włoszech nie może być mowy.

Ale jeżeli zważymy, że z pośród 9.650.000 tysięcy uprawnionych do głosu wzięło udział w „wyborach" 8.650.740, a z tej liczby 8.506.576, czyli około 98 proc. poparło listę Mussoliniego, usunięte zostaną wszelkie wątpliwości, po czyjej stronie jest zaufanie społeczeństwa. Żadnym terrorem nie można zmusić całego niemal narodu do głosowania wbrew swym przekonaniom za systemem będącym zaprzeczeniem elementarnych zasad demokracji. A więc istnieje inny czynnik, nieoparty na przymusie, który skłonił uczestników ostatniego plebiscytu do tak gremjalnego wypowiedzenia się za dalszem trwaniem dyktatury faszystowskiej. Czynnik ten, to przeświadczenie, że tylko rząd Mussoliniego, a nie żaden inny, jest odpowiednikiem obecnej sytuacji we Włoszech, że jego system rządzenia jest r e b u s s i c s t a n t i b u s najwłaściwszą i najlepszą formą, jaka daje się zastosować do układu stosunków wewnętrznych w kraju, który po wojnie omal nie pogrążył się w odmęcie anarchji.

Porównywując plebiscyt ostatni z wyborami w latach 1921 i 1924, widzimy nieustanny wzrost żywiołów społecznych, widzących w rządach Mussoliniego rękojmę normalnego rozwoju państwa i dobrobytu jego obywateli. Podczas wyborów w r. 1921 — jeszcze przed marszem na Rzym (6 października 1922) — faszyści uzyskali nieznaczną ilość mandatów, około 30 a udział głosujących w wyborach wynosił 58 proc. Lecz już wkrótce potem olbrzymia większość Izby nie miała odwagi przeciwstawić się dyktatorowi i pod groźbą rozwiązania jej uchwaliła nową ordynację wyborczą, odrzucającą zasadę proporcionalności. Dzięki tej ordynacji, jak również i pod wpływem terroru, wybory w r. 1924, w których uczestniczyło już 63 proc. uprawnionych do głosowania, przyniosły faszystom 375 mandatów na ogólną liczbę 500. Opozycja zdobyła jednak 2.633.000 głosów przeciw 4.724.000.

A dziś, po pięciu latach, frekwencja wyborcza wzrosła do 90 proc., co jest wyrazem większego zainteresowania się społeczeństwa wyborami, zaś ilość głosów, które padły na faszystów doszła do 98 proc.

Wygląda to na zupełny paradoks, że dyktatura uzyskała niemal jednogłośnie poparcie ogółu, poparcie, które nigdy i nigdzie jeszcze nie było udziałem najbardziej popularnych stronnictw demokratycznych. W tym stanie rzeczy zatraca ona cechy dyktatury, która zawiera w sobie moment panowania mniejszości nad większością, i staje się czemś, przeczącem wszelkim dotychczasowym pojęciom frazeologji demokratycznej. Przez gwałt i terror, przez podeptanie wolności demokratycznych, dotarł Mussolini do celu, o którym marzy każde stronnictwo opierające się na masach, a mianowicie do zdobycia opinji w jej przestarzałych formach, które nigdy nie mogły być wzorem doskonałości dla wszystkich państw, a w niektórych stały się po wojnie anachronizmem? Nie zapominajmy o tem, że konstytucja Włoch którą zniósł faszyzm, sięga roku 1848, posiadała już więc swoje uświęcone historją tradycje. Wypada również zaznaczyć, że plebiscyt ostatni odbył się, jak stwierdzają to bezstronni obserwatorzy, w atmosferze nierównie pomyślniejszej, bez stosowania tych metod terroru faszystowskiego, jakie wpłynęły na wynik wyborów w r. 1924.

Jakżeż mylili się ci, co przepowiadali rychły koniec faszyzmu?! Znakomity historyk i filozof włoski Guglielmo Ferrero pisał w r. 1924 w studjum „Da Fiume a Roma", iż powodzenie swoje ma Mussolini wyłącznie do zawdzięczenia błędom Gioliti'ego, który nie umiał ocenić należycie roli katolicko - ludowej partji Don Sturza, jako złotego środka pomiędzy nacjonalizmem i faszyzmem z jednej strony, a socjalizmem, z drugiej. Widział on wówczas jedyne wyjście w rozumnym liberalizmie, łagodzącym ekcesy prawicy i lewicy, i zapewniał, iż wbrew wszelkim pozorom „rasa dyktatorów znikła z powierzchni ziemi, tak samo, jak znikł ichtyosaurus.

Liberalizm starty został na proch we Włoszech, zdziesiątkowany socjalizm ukrył się w podziemiach, a znaczny odłam dawnych wyznawców tych obu kierunków oddaje obecnie swe głosy na rozkaz Najwyższej Rady Faszystowskiej.

Czem to wytłomaczyć? Zwycięstwem doktryny faszystowskiej nad zasadami demokracji? Nic podobnego. Słusznym wydaje się pogląd Ferro, że demokracja w najszerszem znaczeniu tego słowa bynajmniej nie zmarła we Włoszech, lecz przeciwnie, znajduje się jeszcze w powijakach. Czem wytłomaczyć więc, że Mussolini stał się bożyszczem miljonów w ojczyźnie Galileusza i Giordana Bruna? Mussolini, pozujący na cezara, którego efekty teatralne tak łatwo mógł przejrzeć krytyczny zmysł Włochów. Odpowiedź prosta. Rósł on coraz wyżej w oczach tłumu, widzącego w nim męża Opatrzności, dlatego że posiada żelazną wolę, siłę i rozmach, że przy całem swojem efekciarstwie, wiedział zawsze w chwilach krytycznych, czego chce, podczas gdy jego przeciwnicy wiedzieli tylko, czego nie chcą.

Gdyby w momencie przełomowym znalazł się zamiast niego ktoś inny, kto potrafiłby wyprowadzić kraj z chaosu i osiągnąć takie rezultaty w ramach rządów demokratycznych, jakiemi poszczycić się może Il Duce, nie byłoby może faszyzmu, bo do społeczeństwa najmocniej przemawiają rezultaty, a nie programy, treść a nie forma.

I jeżeli dziś Mussolini święci jeden ze swych naj-

większych sukcesów ma on to przedewszystkiem do zawdzięczenia praktycznym wynikom swych przeszło sześcioletnich rządów, które uratowały kraj od grożącej mu klęski rozkładu, uzdrowiły finanse, znajdujące się nad przepaścią bankructwa, podniosły wytwórczość narodową, zwalczyły korupcję urzędniczą, zorganizowały sprężystą administrację, zwiększyły dobrobyt powszechny i wzmocniły stanowisko mocarstwowe.

Fl. S.

GŁOS I PARAWAN

(z dyskusji o żywe słowo).

Na artykuł mój, który przed kilku tygodniami ukazał się na tych łamach, odpowiedział p. Hulewicz. Nie przyjąłem tej dyskusji, gdyż nie mogę wyjść z założenia iż jestem obowiązany znać wszystkie produkcje „Rozgłośni" wileńskiej, ani też tego, że sama suma pracy włożona w jakąś rzecz o wartości jej decydować może. Rzecz sama w sobie, słowo się rzekło, musi mieć wartość — wtedy dopiero nabiera ceny i praca w nią włożona. Trudno też mówić o pomocach technicznych dla mówców radjowych. P. Hulewicz jest dajmy na to zwolennikiem mówienia tyłem do aparatu, mówienia z za parawaną — może ma rację, ale moje doświadczenia parawanowe dały mocno ujemny rezultat. Parawan — to w każdym razie filtr, a ten pospolicie kraddnie z głosu to, co w niem jest najbardziej wartościowego. Z parawanem, jako odbijaczem, przyznam się nie nauczyłem się obchodzić. Ale nie doświadczenia, lecz obliczenia stawiają tę sprawę pod dużym znakiem zapytania nawet, jeżeli się ma do czynienia z audytorjum słuchającem głosu bezpośrednio. Radjo, to niebezpieczny instrument, który lubi często wzmacniać właśnie to, co jest najmniej potrzebne. Sztuka mówienia przez radjo jest zresztą w tak zaczątkowem stadjum rozwoju, że zupełnie otwarcie przyznaję iż wołałbym, aby narazie przynajmniej poprzestano na opracowaniu głosu i umiejscowieniu go w mniejszej lub większej odległości. Zastosowanie środków technicznych zdaje mi się niezbędne dopiero przy użyciu większych zespołów głosowych. Zresztą kwestja ta jest otwarta. Może o nie jeszcze kiedyindziej podysputujemy.

Bądź co bądź nasza dyskusja poruszyła umysły. Kilka głosów mnie podtrzymało. Znalazł sprzymierzeńców i p. Hulewicz. Co ważniejsze, spostrzegłem, że kilku prelegentów już bardzo poważnie wzięło pod uwagę to, cośmy tu pisali. A to już mówi, że dyskusja nasza nie jest bynajmniej niepotrzebną. Chodźmy więc dalej.

A więc pierwsze pytanie, (będziemy operowali przykładami) co należy i czego nie należy wystawiać. Była oto próba wystawienia „Domu otwartego" Bałuckiego. Błąd w samem założeniu. Dramat sceniczny trzeba widzieć. Słuchanie nic nie pomoże. Książka podaje kursywą informacje — scena daje cały ruch utworu. Komizm wynika najczęściej ze sprzeczności pomiędzy widzeniem a słyszeniem. Otóż, kto nie widział „Domu otwartego" na scenie — dla tego słuchowisko nie dało literalnie nic. A za to „Na wzgórzu śmierci" Kasprowicza — to bodaj wymarzony na słuchowisko właśnie utwór. To jest najistotniejsza muzyka żywego słowa. I dlatego powinno się było tę rzecz podać i wybór „Rozgłośni", która ją nam zademonstrowała zasługuje na całkowite uznanie. Przyjrzyjmy się bliżej utworowi, aby zdać sobie sprawę z tego jakie wymagania postawilibyśmy słuchowisku i reżyserji.

Dramat właściwy — to przeżycie Duszy wygnanej z raju, duszy, szukającej mocy. Jedna jest moc dla niej — to Lucyfer, namiętność, choć, że użyjemy określenie poety z innego utworu, choć, która jedynie rozpłomienia siność jej lic. W pewnej chwili majaczy przed nią moc inna, moc zwycięskiego cierpienia. Jest Ktoś, kto czary rozkoszy z rąk szatana nie przyjął, aby wychylić do dna kielich goryczy. I Dusza wygnana z raju wierzyć poczyna, że szatan, to kłam, że jego uściski oszałamiają jedynie — nie tworzą, chce biec za są nową Wielką Nieznaną mocą Dobrego. Ten Ktoś ginie na Krzyżu na Wzgórzu Śmierci i już zwycięża. Ale w ostatniej chwili z piersi Jego wyrywa się nie głos triumfu, ale rozpaczy „Boże mój Boże, czemuś mnie opuścił". I dusza wygnana z raju powraca do szatana, aby mieć bodaj złudę zapomnienia.

Ten moment kulminacyjny dramatu przygotowuje poeta z niesłychanem poprostu mistrzowstwem słowa. Z chaosu rozgwaru gawiedzi, w którym się plączą motywy życia codziennego, życia wielkiego skupiska wyłania się ohydne swoim fałszywym patosem oskarżenie Annasza. Rozbestwiony tłum woła o śmierć dla Niewinnego. Następuje straszliwa scena wbijania gwoździ i potępieńcza kłótnia o szaty Skazańca. Krzyż idzie w górę. To wszystko żyje, drga w cudownem słowie wieszcza. Wreszcie pod krzyżem staje obszarpaniec. A bluźnierstwo jego to istny taniec ś-go Wita. Tempo słowa poprostu staje się zawrotne. Rytm wiersza szarpany, podarty. I tu już szczyt rozbestwienia poza którym jest krótka, mgnieniowa poprostu refleksja intelektu i wybuch entuzjazmu:

On Jeden wie... Na krzyżu... Kona...
Cicho, jak Człowiek, który wierzy...
Słyszysz? Przebacza łotrowi?...

Na to padają z Krzyża słowa rozpaczy. I cały świat się zapadł. Ludzie zniknęli. Znikło nawet samo Wzgórze Śmierci. Została tylko Dusza wygnana z raju w mocy szatana. A przedtem ten okropny krzyk człowieka — „To krzyk rozpaczy".

Oddać tę scenę — to znaczy oddać wiernie utwór. w jakiż sposób można było to uczynić? Otóż przedewszystkiem trzeba było położyć nacisk na tempo. Budowa tego arcydzieła Kasprowicza jest niezmiernie ciekawa. Pierwsza część to djalog Szymona z Kyreny z Alethejem. Druga to tłum i jego brud codzienny. Pierwsza kończy się upadkiem fali entuzjazmu. Nad drugą płynie potężna postać Dźwigającego Krzyż na Golgotę. Ona przytłacza wszystko. Aż wyrwie się ku Niej Dusza wygnana z raju, przez zbity tłum pobieży ku Niej Niewiasta — Magdalena aż Szymon z Kyreny podejdzie i weźmie krzyż na swe barki. Dobro zwycięża. Interwencja uczonych w piśmie, interwencja arcykapłanów potrzebna jest, aby znów tłum rozbestwić. O trzeciej części mówiliśmy, szukając kulminacji

utworu. W każdej z tych części tempo wzmaga się, dochodzi do pewnego napięcia i zamiera.

Podział ten jest bardzo mocno zaakcentowany przez poetę. Każdej bowiem z części tych odpowiada moment dramatu Duszy wygnanej z raju. Jej monolog utwór otwiera. Jej wołania hamują część pierwszą. Jej djalog z Luciferem stanowi zawiązanie właściwej akcji dramatu. Koniec drugiej części przynosi jej zerwanie z ciemnym kochankiem. Ona kończy poemat.

Każde wystąpienie Duszy wygnanej z raju — to zupełne przeistoczenie rytmiki poematu. Oto przykład:

Lucyferze, dlaczego śród ludzi
Zostawiasz duszę, gdzie jej tak samotno,
I tak jej smutno...

Długie okresy akcentowe — coś jak śpiew. A oto człowiek.

Prawdziwie... W powietrzu...

Na zakończenie jednego wiersza, dwa słowa i dwie grupy akcentowe.

Strona przed tem: Oto Dusza wygnana z raju:

Bo ile razy kto z poddanych śmierci
Zajdzie mi drogę, przeklina wnet chwilę
W której spełniony był grzech pierworodny
W raju straconym...

Znowu grupy długie, wymagające ciągłości mowy. A oto człowiek:

Jesteśmy na wzgórzu —
Tu krzyż ten stanie...

Powrót do grup krótkich. Czy kierownictwo „Rozgłośni" sądzi, że to przypadek? Chyba że nie. Tylko rytmiki już nie można traktować tak jak nieboszczyk Małecki. Trzeba bodaj z Mleczką się zapoznać. Trzeba bodaj nieco Sarana poczytać. Wtedy nie trzeba będzie parawanów.

W pewnych momentach melodyka słowa Kasprowicza staje się brutalna. Rozmowy handlarzy to już nerwowy szwargot z Nalewek, albo zgoła z Dzikiej. I tego niewolno tuszować.

Ale „Rozgłośnia" stuszowała absolutnie wszystko. Recytatyw pomieszał się ze śpiewem. Poszczególni odwtórcy deklamowali, uwzględniając „akcentylogiczne". Wypowiadano przemówienia agitacyjne. Agitował, ale jakże blado Annasz. Agitował Lucyfer i Dusza wygnana z raju i Ahola i Szymon — wszyscy agitowali, dodając łezkę tam, gdzie była ona najmniej potrzebna. Z za parawanów pewno gadały i śpiewały chóry. Ale o dykcji jej może i pomyślano — ale na myślach się i skończyło. Trzeba było trzymać egzemplarz przed sobą, aby wiedzieć wogóle co który gada i co gadający reprezentuje.

O parawanach się pisze, ale w napotrzebniejszem miejscu, kiedy chodziło o stłumienie pogłosów, które tak strasznie raziły zwlaszcza w czasie słowa wstępnego (do radja nie wolno mówić z takim patosem) zapomniano o nich najwidoczniej. Słuchowisko wypadło poniżej krytyki. Ale nie dlatego, że parawanów nie użyto, tylko dlatego, że go ani melodycznie, ani rytmicznie nie wystudjowano. Radjo jest stanowczo za poważną rzeczą, aby wolno było je w ten sposób traktować. Tego rodzaju wystąpienia nie popularyzują, ale kompromitują literaturę.

A. Uziembło.

OŚRODKI ZDROWIA W POLSCE

Od kilku lat są w Polsce z pomocą finansową Fundacji Roekfellerowskiej t. zw. wzorowe okręgi hygieniczne (Warszawa — Mokotów, pow. warszawski, skierniewicki, będziński). Poza ich bezpośredniemi zadaniami, polegającemi na krzewieniu zasad higjeny nowoczesnej, są one jednocześnie jakby laboratorjami doświadczalnemi, służącemi dla wypróbowania najwłaściwszych na ziemiach polskich metod administracji sanitarnej. Całą tę akcję prowadzi Państwowa Służba Zdrowia, współpracując z miejscowemi władzami samorządowemi i instytucjami społecznemi.

Idea ośrodków i nazwa (Health Centre) powstała w U. S. A. Równolegle z rozszerzeniem i różniczkowaniem się pracy miejskich wydziałów zdrowia, z powstawaniem coraz to nowych organizacyj społecznych, obejmujących różnorodne działy medycyny zapobiegawczej, powstała potrzeba uzgodnienia tej działalności, skoordynowania wysiłków w celu zaoszczędzenia sił i środków.

Analogiczne dążenie do tworzenia ośrodków pracy, prowadzących walkę z klęskami społecznemi, spotykamy i w Niemczech.

U nas pierwsze ośrodki zdrowia powstały na początku roku 1925 dzięki Fundacji Roekfellerowskiej. Nasze okręgi sanitarne rozwinęły się wszakże w innym nieco kierunku, niż w Stanach Zjednoczonych, albowiem pierwsze miejsce w ich działalności zajęły poradnie. Jedną z zasadniczych cech naszych okręgów jest to, że działalność leczniczo - zapobiegawcza, przynajmniej w niektórych z nich, występuje na pierwszy plan. Należy jednak dodać, że nowopowstające u nas instytucje, podobnie zresztą jak na Zachodzie i w Ameryce, nie mają typu jednolitego.

Niewątpliwie jesteśmy na drodze do utworzenia jakiegoś typu lub typów instytucyj, ześrodkowującej w sobie akcję higjeniczno - społeczną z mniejszą lub większą domieszką lecznictwa i działalności administracyjno - sanitarnej, ale jaki będzie ostateczny wyraz tej instytucji, dziś jeszcze trudno przewidzieć. Dążenie do połączenia ośrodka zdrowia z działalnością policyjno - szpitalną jest u nas dość wyraźne. To połączenie ma swoje dobre strony, gdyż umożliwia administracji Służby Zdrowia bliższe zetknięcie się z ludnością, ułatwia zdobycie zaufania, zwiększa autorytet. Z drugiej jednak strony akcja lekarza - społecznika jest w ten sposób utrudniona. Trudno też pominąć milczeniem, że duże niebezpieczeństwo u nas tkwi w ujemnej tradycji, utożsamiającej lekarza hygjenistę z urzędnikiem administracyjnym, mającym zawsze w zanadrzu jakieś rozporządzenie niełatwe do wykonania, a pociągające za sobą koszty, a nawet kary. Dotąd jednak ta łączność wspomnianych dwóch działów higjeny nie jest jeszcze bardzo ścisła. Takie jest jednak dążenie ze strony administracji, za tem przemawiają praktycy - higjeniści.

Wyłuszczony powyżej zakres działalności wykreśla jednocześnie granice tego terenu, na którym działa ośrodek zdrowia. Obszar jego powinien być tak zakrojony, żeby ludność mogła stosunkowo wygodnie korzystać z usług ośrodka. To też jest rzeczą oczywistą, iż

nie można tworzyć jednego ośrodka napowrót i uważać sprawę za załatwioną. Należy powiat podzielić na odpowiednie okręgi, a w każdym okręgu w miejscowości łatwo dostępnej dla ludności (większa wieś, miasteczko) stworzyć ośrodek zdrowia. Co do miast, to doświadczenie dotychchczasowe uczy, iż jeden ośrodek może wystarczyć najwyżej na 50.000 ludności.

Co się tyczy strony fachowej tworzenia ośrodka jest rzeczą zrozumiałą, iż ciężar ten musi spaść przedewszystkiem na barki samorządów, które w tych sprawach są najbardziej zainteresowane. Z różnych czynników, które mogą dopomóc w rozwiązaniu trudności finansowych, można wymienić Kasę Chorych, która z natury swych zadań powinna być również zainteresowaną w akcji zapobiegawczej, będącej głównem zadaniem ośrodka, i Skarb Państwa. W ośrodku zdrowia powinna być prowadzona walka z gruźlicą, jaglicą, chorobami wenerycznemi, opieka nad matką i dzieckiem, walka z alkoholizmem i chorobami umysłowemi. Winien on również posiadać laboratorjum podręczne, poradnię sportową i inne pokrewne działy, oraz roztaczać nadzór nad zaopatrywaniem ludności w wodę, nad usuwaniem nieczystości, nad środkami spożywczemi i t. p.

Władze państwowe w porozumieniu i w ścisłej współpracy z organizacjami samorządowemi i instytucjami społecznemi dążą do wcielenia nakreślonego programu w życie. Na początku 1928 r. posiadaliśmy w Polsce 158 poradni przeciwgruźlicznych, 63 przeciwjaglicznych, 39 przeciwwenerycznych. 180 stacyj opieki nad matką i dzieckiem, scalanych zaś ośrodków zdrowia mniej lub więcej skompletowanych, według danych Departamentu Służby Zdrowia, mamy obecnie 22, a 130 znajduje się w okresie pawstawania, przytem niektóre z nich są na ukończeniu.

Omawianym wyżej problemem zajmuje się szczegółowo interesująca książka p. t. „Ośrodki Zdrowia w Polsce", pod redakcją d-ra M. Kacprzaka, która wydana została nakładem Komitetu Polskiej Międzynarodowej Konferencji Służby Społecznej.

L. R.

POD 80° SZEROKOŚCI GEOGRAFICZNEJ

Wyprawa komandora Byrda do bieguna

Śladami Amundsena, Shakletona i kap. Scotta wyruszyła amerykańska ekspedycja Byrda do bieguna Południowego. Gdy jednak poprzedni badacze polarni mieli na celu li tylko osiągnięcie bieguna, czego zewnętrznym wyrazem było zatknięcie flagi narodowej w miejscu, „gdzie noga ludzka nie postała", ekspedycja komandora Byrda zakrojona jest na szerszą skalę. Zamierza ona dokładnie zbadać Antarktyk pod względem klimatycznym, geologicznym, topograficznym, meteorologicznym i t. p. Byrdowi towarzyszą specjaliści z poszczególnych dziedzin naukowych, którzy badają gruntownie nowoodkryte tereny.

Zadanie ekspedycji Byrda jest niełatwe. Teren badań stanowi obszerny ląd, t. zw. Antarktyda—„szósta część świata", — obejmujący 5 miljonów mil kwadratowych i pokryty wiecznym lodem. Grubość lodu nie została jeszcze dokładnie zbadana, przypuszczają jednak, że w niektórych miejscach powłoka lodowa sięga 2 tysięcy stóp grubości. Wolne od lodów są tylko wysokie i strome szczyty oraz grupy skał wulkanicznego pochodzenia. Góry Antarktydy są wysokie: niektóre szczyty sięgają 8 do 10 kilometrów wysokości. Olbrzymi lodowiec podbiegunowy obniża swój poziom w stronę oceanu, tworząc nad morzem Rossa barjerę lodową długości 400 mil. Pod tą „barjerą" obozuje obecnie w zatoce Wielorybiej ekspedycja Byrda.

* * *

Na tej śnieżnej pustyni powstało pierwsze osiedle ludzkie. Nosi nazwę „Małej Ameryki". Składa się z kilku drewnianych domków, w których zimować będzie ekspedycja Byrda. Wygodne izby mieszkalne, obszerna sala dla pracy naukowej, wspólny pokój jadalny, sala klubowa, — mieszczą się w owych kilku domkach. „Mała Ameryka" posiada również wielkie hangary z bardzo taniego i trwałego materjału — śniegu. Pierwsze osiedle podbiegunowe jest głęboko wryte w ziemię; żółte ściany domków o dwie stopy zaledwie wznoszą się ponad powierzchnią. Dookoła poustawiane są wielkie beczki z benzyną, skrzynie z przeróżnemi instrumentami, zapasy żywności, sanie i psie budy. Nad wszystkiem górują trzy potężne anteny radjowe, jakby trzy palmy w niezmierzonej białej pustyni.

Zanim powstała „Mała Ameryka", członkowie ekspedycji mieszkali w namiotach, spali w workach ze skór zwierzęcych, tuląc się do swych psów.

* * *

Psy, „importowane" z Ameryki, stanowią poza dzikiem ptactwem jedyną faunę Antarktydy. Są to nietylko najwytrwalsi pomocnicy członków wyprawy podbiegunowej, lecz również ich najbardziej oddani przyjaciele. W „przeprowadzce" załogi okrętu „City of New York" do „Małej Ameryki" psy odegrały główną rolę. Niezmordowanie przewoziły one na saniach wszystkie materjały i zapasy; odbywały wielkie kursy wśród pól lodowych, przyczyniając się nie mniej od ludzi do odkrycia nowych terytorjów.

Niedawno ekspedycja Byrda poniosła dotkliwą stratę. Zginął „Chinook", wielki „Chinook", 12-letni pies, należący do Waldena, jednego z członków wyprawy. Był to niezwykle mądry pies, „dowódca" całej psiej eskorty. Zaprzęgano go rzadko „Chinook" biegł zwykle obok swego pana, bacząc pilnie na znajdujące się w zaprzęgu psy. Gdy któryś z nich zbliżał się do niebezpiecznej szczeliny lub pędził ze stromego wzgórza, „Chinook" był tuż, ostrzegając przed niebezpieczeństwem. Pies ten posiadał zadziwiający węch. Opowiadano, że w wielkich miastach Ameryki „Chinook" rozumiał sygnały policyjne i zatrzymywał się na znak posterunkowego. „Chinook" obdarzył wyprawę Byrda ośmioma szczeniętami. Towarzysząc pewnego dnia Waldenowi, pies znikł bez śladu. Zginął w dniu, w którym ukończył 12 lat swego istnienia. Widocznie poczuł zbliżającą się śmierć, postano-

wił więc oddalić się dobrowolnie. Wszczęte przez Waldena poszukiwania spełzły na niczem.

* * *

Jednostajny krajobraz: dokoła śnieżna pustynia. Zdawałoby się, że ta garstka ludzi, znajdująca się pod 80° południowej szerokości, na odległości kilku tysięcy kilometrów od najbliższego ludzkiego osiedla, jest zupełnie odcięta od świata. Tymczasem, dzięki genjuszowi ludzkiemu, członkowie wyprawy komandora Byrda stale komunikują się przy pomocy radja z Ameryką. Znajdujący się w „Małej Ameryce" dziennikarz Russel Owen codziennie telegrafuje do Nowego Jorku o przebiegu prac ekspedycji. A niema przecież dnia, aby nie odkryto czegoś nowego, aby nie dokonano jakiegoś ciekawego doświadczenia lub obserwacji. Przoduje w tym, oczywiście, sam komandor Byrd, nieustraszony podbiegunowy podróżnik i dzielny lotnik. Na swym niewielkim samolocie okrążył on już tysiące kilometrów lądu podbiegunowego, eksplorując jego niezmierzone przestrzenie.

Uczeni, biorący udział w wyprawie, mają niezwykle bogate pole dla swych badań i odkryć. Na ileż to pytań pragnęliby dać odpowiedź! Czy istnieje stały ląd pod lodową powłoką i jaki jest jego obszar? Jaka jest grubość lodu? Czy panowała w okolicach podbiegunowych cieplejsza, niźli obecnie, temperatura? Jaki związek zachodzi pomiędzy magnetyzmem biegunowym, a panującemi w Antarktyku nieustannemi burzami? Czy i w jakim stopniu wpływają te burze na zmianę klimatu w Australji i Ameryce Południowej?

Zamierzenia ludzkie w dobie dzisiejszej szeroka publiczność, szczególnie w Ameryce, przywykła mierzyć.. na dolary. O rozmachu, z jakim Byrd zorganizował swą największą ekspedycję podbiegunową, świadczy fakt, że koszt jej obliczają na kilka miljonów dolarów. A odkrycie Ameryki przez Kolumba, jak można wnioskować z danych historycznych, kosztowało zaledwie dwadzieścia tysięcy dolarów!

* * *

Dziś, gdy na północnej półkuli witamy święto budzącej się wiosny, gdzieś na dalekim południu, wśród zasp śnieżnych i wiecznych lodów, garstka śmiałków żegnać będzie w Święto Wielkiejnocy odchodzące nadługo słońce! Pod 80 stopniem szerokości geograficznej nastąpi ośmiomiesięczna „wielka noc"...

H.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

PO LINJI NAJMNIEJSZEGO OPORU

Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego dr. K. Świtalski odbył w wielkim tygodniu cały szereg konferencyj z artystami i literatami polskimi na temat organizacji pomocy rządu dla sztuki polskiej.

Dyrektor Jastrzębowski, organizator tych konferencyj, okazał dużo dobrej woli, sumienności i staranności w przygotowaniu terenu obrad. Panu ministrowi W. R. i O. P. pisarze i artyści konferujący z nim podziękowali szczerze za zainteresowanie się losem sztuki, do dni bieżących znajdującej się na ostatnim planie tak w ministerstwie W. R. i O. P., jak też w pracy państwowej.

Obrady miały charakter poufny. Poufność tę dyktowała obu stronom tak przedstawicielom ministerstwa, jak i przedstawicielom sztuki chęć swobodnej wymiany myśli, oraz uniknięcia niebezpieczeństw hałaśliwej dyskusji prasowej, które to niebezpieczeństwa dla rzeczy niedojrzałych jeszcze, niegotowych, ostatecznie nieopracowanych mogą być w samej rzeczy dość wielkie.

O ile chodzi o literaturę, to ostatecznie wybrano rodzaj komisji, do której wchodzą, na razie jako rzeczoznawcy, Kaden-Bandrowski, Goetel, Irzykowski i Staff. Komisja ta przydana niejako przedstawicielowi departamentu sztuki dr. Borowemu, w porozumieniu ze stowarzyszeniami i związkami literackiemi, ma dopomóc departamentowi sztuki do ustawienia, czy uszeregowania najkonieczniejszych prac literackich, które należy wykonać ze względu na dobro i normalny rozwój literatury ojczystej.

W związku z osiągniętemi wynikami (komisja przyboczna wydziału literackiego przy departamencie sztuki) uważamy za obowiązek przypomnieć, o co walczyły i czego domagały się już od przeszło dwóch lat stowarzyszenia literackie.

W domaganiach się tych nie było, — jak zawsze zresztą i wszędzie w życiu, — błogiej jednomyślności. Przeciwnie, — zarysowały się tu dwa obozy. Do jednego, domagającego się utworzenia akademji polskiej (względnie akademji literatury polskiej) należeli i nadal należą wszyscy wybitni pisarze polscy bez różnicy odcieniów politycznych. Więc Sieroszewski i Weyssenhof, Strug i Rostworowski, Askenazy i Rodziewiczówna, Tuwim i Parandowski, Nałkowska i Orkan,— ściśle rzecz biorąc, wszystkie nazwiska ludzi powszechnie znanych, wybitnych i najwybitniejszych w dziedzinie piśmiennictwa polskiego.

Przeciw temu obozowi, reprezentującemu stanowisko utworzenia akademji literatury wystąpili prze-

ciwnicy akademji, przeważnie początkująca młodzież literacka z Irzykowskim i Napierskim na czele.

Pro-akademicy wystąpili ze swym projektem, wcale nie samowolnie, czy też nie bez uprzednich nader ważnych premis. Wystąpili, jako przedłużenie Straży Piśmiennictwa Polskiego, inicjatywy dyskutowanej już w swoim czasie przez t. zw. strażaków (t. j. członków Straży) z najbardziej miarodajnemi przedstawicielami władzy.

Projekt akademji literatury nie był wzorowany na starych zaschniętych schematach akademji francuskiej. Specjalny komitet, pracujący przy Straży nad projektem akademji, zawarł w projekcie swym wszystkie najbardziej palące sprawy tak merytoryczne t. j. ściśle literackie, jak też organizacyjne. Objęto więc projektem akademji i sprawę organizacji twórczości, twórczości wielkiej i popularnej. Objęto też i kwestję gospodarki w dziedzinach życia literatury, t. j. sprawy opodatkowania klasyków, funduszu narodowego literatury, kwestji przyszłej organizacji ubezpieczenia pracowników pióra i t. p.

Straż P. Polskiego, która w pewnym okresie swej walki o akademję polską znalazła się poniekąd pod zarzutem, iż pierwszy jej projekt utworzenia akademji nie jest projektem zbliżonym do sensu użyteczności publicznej, w drugim projekcie swoim bardzo zaszczytnie oczyściła się z tego zarzutu, przedstawiając wniosek, pełen zdrowego sensu właśnie ze względu na t. zw. użyteczność publiczną.

Zwolennicy Izby z pp. Irzykowskim i Napierskim na czele, w dziedzinie samej organizacji twórczości, czy pracy literackiej mieli wiele wspólnego z projektem akademji. Nie mogli jednak strawić zabezpieczenia pisarzy—twórców, które ci ostatni otrzymywaliby w postaci pensji. Nie mogli też zgodzić się z zasadą mianowania części akademików przez najwyższy czynnik państwowy. Przeciwstawiali tej koncepcji koncepcję bardziej płynną, rzekomo bardziej demokratyczną, a mianowicie co pewien czas, co kadencję paroletnią, — odbywające się wybory.

Aparat tych wyborów nader złożony i zawiły miał być rozstrzygającą instancją przy powoływaniu do pracy przyszłych funkcjonarjuszy Izby.

W dyskusji, jaka nad temi sprawami toczyła się półtora roku temu, zwracałem usilną uwagę mych oponentów, stronników Izby, iż projekt Straży co do utworzenia Akademji należy poprzeć wszystkiemi siłami. Iż projekt taki daje literaturze polskiej coś w rodzaju statutu erekcyjnego, rodzaj bardzo szeroko zakreślonej autonomji. Że w zakresie tej autonomji uwzględnić można i tylko w tym zakresie da się uwzględnić łączny problem pracy twórczej, krytycznej, oraz organizacyjnej.

Że brak jednomyślności w tej dziedzinie zamąci obraz żądań przedstawicieli literatury, zdezorjentuje czynniki miarodajne i tak, z natury rzeczy nie nazbyt skore do mieszania się w sprawy bezspornie donośne w sensie znaczenia kulturalnego, lecz organizacyjnie nader niewygodne, a jak dotąd w technice administracyjnej pozbawione jeszcze tak zwanych precedensów.

Zwracałem wówczas uwagę, że projekt Izby, rzekomo demokratyczny (nieustanne wybory), chociażby ze względów technicznych nie znajdzie w praktyce państwowej ani uznania, ani zastosowania i że dzięki temu przysłuży się jedynie do rozbicia inicjatywy pisarzów polskich w sprawie Akademji. Że, — wreszcie, — jak bywa zawsze w podobnych wypadkach, — czynniki miarodajne, widząc to rozszczepienie w łonie petentów, pójdą po linji najmniejszego oporu i zamiast Akademji, czy niemożliwej do zrealizowania Izby, — conajwyżej rozszerzą zakres działania referatu literackiego, istniejącego już przy departamencie sztuki. To znaczy załatwią sprawę fragmentarycznie w ramach urzędowych.

Słowem, — że tak czuli na swe demokratyczne kompetencje wyznawcy Izby, znajdą się w ostatecznym wyniku swych zabiegów w zupełnem uzależnieniu od czynników miarodajnych, — w uzależnieniu nieporównanie ściślejszem i bardziej krępującem, niż to, które czekałoby nas wszystkich w Akademji.

Mam wrażenie, że praktyka życia spełniła całkowicie moje przewidywania. Zamiast, by departament sztuki pomagał nam obecnie w naszem autonomicznem życiu literackiem, my będziemy pomagali w zakresie ściśle naprzód przewidzianym i ustalonym referatowi literackiemu przy departamencie sztuki.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

JEDNA CHWILA

Więc stały i bardziej inny,
mniej bezradny w smutku, weselu,
każdej chwili naprzeciw — krzyczę winny,
do stóp Boga pokornie się pościelę.

Zatopiony oczyma w głębi
nieprzejrzanych trudnych tajemnic,
każdej chwili, jak pocztowym gołębiom,
pod skrzydła przypinam wieść z nowej ziemi.

Jest moim myślom najlepiej —
Jest memu sercu najsmutniej —
Z pośród chwil jedna — sekunda okrutna —
na zawsze woskiem śmierci oczy zlepi!

SYGNALISTA

(Na marginesie „Czarnych Skrzydeł", Juljusza Kaden - Bandrowskiego).

W drobiącym głosie świerszczów srebrna, polna niedziela —
W zmartwiałej gluszy kopalni dusząca, lepka śmierć —
Strach idzie chodnikami, huk głębin się powiela —
Ostatnia klatka windy: — życia wąska perć! —

W wystuku strasznych sekund przed Bogiem i przed bliźnim
wykwitły światła prawdy: — zaszczytne ludzkie łzy —
Z ust poszły miękkie słowa świętej, czułej przyjaźni:
— Pamiętaj, ta kobieta — Lenorka — Wiesz — Jedź ty!...

A kiedy przyszła pomoc, szyb świsnął głośnym pędem
Zalśniły lampy wieży i z nieba spadła gwiazda.
Górnicy stali groźni ponurym, czarnym rzędem.
Winda śmigała w górę — Ostatnia ziemska jazda! —

Wyżej, wyżej, wciąż wyżej ku wiecznym ogniom istnienia
w fanfarach śmierci dostojnej, dla której niema imienia,
odchodził, Sprawie człowieka za życia wiernie oddany —
sygnalista kopalni Erazma — bohater — Duś Janek! —

Antoni Madej.

TEMPORAL

Urywek z opisu podróży po Amazonce.

Pomyślny wiatr zagarnął żagiel i wypełnił go swym oddechem. „Amaranta" mknęła ku wyspie Miritipuku widocznej na horyzoncie.

Spokojna rzeka i jasne popołudniowe niebo wróżyły pogodę.

Byłem zmęczony wrażeniami doznanemi w Aboete, więc zdrzemnąłem się, pozostawiając Elkowi prowadzenie łodzi. Wkrótce — jednak — przebudził mię jego stanowczy głos: „Przyjacielu chodźno tutaj, ręka mi zdrętwiała. Prędzej!" Zerwałem się i, jeszcze niezupełnie przebudzony, skoczyłem do steru, aby zastąpić zmęczonego towarzysza.

Dął ostry fordewind [1]) od strony morza.

Ściemniło się; powietrze nabrzmiało słoną wilgocią; niebo przyoblekło się w niewyraźne kolory.

Byliśmy sami w olbrzymich ramach ruchomego, rozhuśtanego horyzontu. Łódź jok spłoszony koń co chwila stawała dęba. Całym ciężarem ciała położyłem się na trzonie steru, a prawą ręką ściągnąłem naprężony szot[2]) żagla jak uzdę. „Amarante" pochyliła się pod naporem wiatru i posłusznie już skakała z fali na falę. Żółta piana kłębiła się wokół steru, który jak pług przeorywał wzgórza wodne i pozostawiał za sobą ciemne skiby połamane przez fale w tysiące zygzaków.

Kazałem zwinąć berżerom[3]) (w chwilach groźnych Elek poddawał się mej komendzie bez zastrzeżeń) i spoglądałem z niepokojem na zmienne dekoracje nieba: od nich zależy przecież wynik pogody! Gdzie jest ta wyspa „stuku-puku"? spytałem, siląc się na uśmiech, gdyż straciłem w czasie snu kierunek jazdy, a ląd widziany jeszcze niedawno zakryła srebrna kurtyna ulewy.

Zdaje się... na lewo" — odparł Elek po długim namyśle, lecz ostatnie jego słowa zagłuszył już huk zbliżającego się deszczu.

Zbliżał się on paradnym krokiem z całą orkiestrą gwizdów, szumów i łoskotów. Dzięki przywiązaniu szotu do nogi udało mi się zrzucić z siebie ubranie. Pozostałem tylko w krótkich spodniach a do szyi przymocowałem niodstępny w chwilach krytycznych płócienny woreczek. Mieścił się w nim cały mój skarb: fotografie ukochanych osób oraz krótkie notatki z podróży.

Gąbki chmur ściśnięte niewidzialną ręką chlusnęły nadół ciężkim wodospadem. Z radością poddałem rozgrzane ciało działaniu chłodnego prysznica.

Fale batożone rózgami deszczu pieniły się i parskały dokoła. „Amaranta" wspinała się tryumfalnie, zanurzała w białych mydlinach rzeki i mknęła przed siebie... Gwałtowny, huraganowy wiatr od morza rozdmuchał chmury deszczowe i zakręcił łodzią jak pajacem. Nagle, przechylił ją na lewą burtę tak silnie, że piana zaczęła wdzierać się do wnętrza łodzi, a Elek zajęty wybieraniem wody zapomocą skrzynki — wypadł wraz z nią do rzeki. W ostatniej chwili zdołał jednak pochwycić druciane paduny[4]).

Pod ciężarem jego ciała przechyliła się „Amaranta" jeszcze bardziej i gdyby nie manewr żeglarski, łódź z pewnością nie wyszłaby z tej przygody. W krytycznej chwili zmieniłem kierunek jazdy, byle przerzucić żagiel na prawą burtę i utrzymać prowizoryczną równowagę. Elek wdrapał się do łodzi ostatkiem sił zaoszczędzonych w walce z korentezą[5]). Jego długie, siwiejące włosy rozpełzły się po twarzy. Obłędnym wzrokiem szukał czegoś na falach. Z gardła ciekła mu jeszcze woda a za nią wybiegły dwa zrozpaczone słowa: „mój kapelusz!..."

Nie miałem czasu zwracać uwagi na towarzysza. Właśnie szykowałem się na przyjęcie nowego natarcia temporalu[6]), który szedł ze spienioną falą od morza. Wzrokiem zmierzyłem odległość między łodzią a brzegiem, który wyłonił się odrazu bliski i byłem przygotowany na wszystko.

W tem nagły, silny wstrząs: to Elek nieprzytomny, z przerażenia na widok nowego szturmu fal odwiązał linę podtrzymującą reję[7]). Nie zdążyłem już wybrać szotu i żagiel padł do rzeki z prawej burty. Ciężka fala napełniła płótno jak worek, — łódź mogła za chwilę pójść na dno.

Elek klęczał po kolana w wodzie, cały swój ciężar zawieszał u liny i szarpał ją w rozpaczy, chcąc podnieść żagiel. W odpowiedzi na te próżne wysiłki rozległ się suchy trzask. Lina okazała się silniejszą niż maszt, który łamie się u szczytu.

Sytuacja stała się jeszcze groźniejsza. Jedyny ratunek — ścięcie masztu — był niemożliwy, gdyż nie mieliśmy siekiery.

Wyrzuciłem z dna łodzi kilka kamieni, ale i to niewiele pomogło.

Po rzece płynęły belki i całe dziesiątki drzew wyrwanych przez burzę. Jedna z belek podrzucona falą spadła na żagiel i rozdarła go jak balon z bibułki. Zatonięcie odwlecze się jeszcze na parę minut— myślałem ze stoicką powagą, obserwując zmniejszenie inklinacji łodzi.

---

[1]) Fordewind — wiatr wiejący z tyłu łodzi.
[2] szot — lina regulująca ustawienie żagla na wiatr.
[3]) berżerom — przedni żagiel (port.).

[4]) paduny — druciane liny podtrzymujące maszt.
[5]) korenteza — prąd na środku rzeki.
[6]) temporal — silna zawierucha groźniejsza nieraz od burzy.
[7]) reja — w tym wypadku trzymotorowa tyczka do której przymocowany jest żagiel.

Powodzenie jednak (podobnie jak nieszczęścia) chodzą zwykle parami: wiatr zmienił kierunek i sam zagnał podarty żagiel na rufę[8]).

Brzeg był już widoczny zupełnie, ale łódź gnana prądem oddalała się od brzegu. Rozwinęłem berżerom i z dumą spoglądałem na Elka, siedzącego w wodzie, która wypełniała wnętrze łódki. Na niewielkiem, trójkątnem płótnie przedniego żagla położył się wiatr całym ciężarem.

Po chwili „Amaranta" płynęła ze złamanym masztem wzdłuż brzegu w poszukiwaniu dogodnego miejsca wylądowania. Ale wiatr zasłonięty przez drzewa wyspy przestał dopomagać w podróży, a rzeka tworzyła rybożę[9]), która szarpała łódź tam i z powrotem. Fale wzburzone temporalem wpadły na drzewa wyspy, kłębiły się i wspinały nieraz aż do górnych gałęzi, jakby cała flota. „Titanic" ów przepływała w pobliżu rozhuśtała rzekę uderzeniami turbin tysiąćkonnych. Trzeba było podpłynąć do brzegu przez to gotujące się kłębowisko rybojży. W jednym z silniejszych szturmów fale pochwyciły łódź i rzuciły na krzewy, jak kawałek trzciny. Maszt odłamał sie tuż przy nasadzie, popękały liny, ale kadłub sam — dzieło sławnego taboleira[10]) z Santa Rem — wytrzymał.

Leżałem na mokradle, oddychając ciężko. Nie czułem bólu ale bałem się poruszyć nie przypuszczając nawet, iż mogłem wyjść z tego zdarzenia bez szwanku.

Elek jęczał głośno, jakby wybierał się na tamten świat. Fale wpadły na wybrzeże i obrzygiwały nas gęstemi szumowinami, wreszcie mój towarzysz przypomniał sobie coś ważniejszego od śmierci bo wstał i podszedł do łodzi, która leżała jak wielki ptak z połamanemi skrzydłami.

„Mocna bryczka"! zawołał ze śmiechem ale wnet dopowiedział smutniej: „tylko mój kapelusz amerykański utonął!".

Poszedłem za przykładem Elka i obejrzałem „Amarante". Następnie wciągnąłem mokre spodnie i wkrótce ruszyliśmy obaj wzdłuż brzegu w poszukiwaniu siedziby ludzkiej.

Przypuszczenia nasze okazały się słuszne. W małej zatoce przy ujściu jakiegoś strumienia stała na grubych palach wielka, drewniana chata. Ściany jej poczerniały ze starości i gdyby nie gęsty mur drzew z pewnością runęłyby już dawno w tym zakątku świata, gdzie spotyka się jedynie szałasy z liści karnauby[11]) — dom taki z pewnością jest pamiątką jakiejś tragicznej historji.

Rodzina złożona z samych kobiet stała na kładce przed domem i z trwogą spoglądała na szturm fal, które wdzierały się aż tu i opadały bezsilne u stóp budowli. Widziały one walkę „Amaranty z temporalem i nie sądziły, iżby zdołał się uratować ktokolwiek z jej załogi — toteż, gdy ujrzały dwóch zmoczonych przybyszów, wbiegły do domu z okrzykami przerażenia.

---

[8]) rufa — tył łodzi.

[9]) rybojża — prąd przy brzegu — często przeciwny korentezie.

[10]) taboleiro — cieśla zajmujący się wyłącznie robieniem łódek.

[11]) karnauba — rodzaj palmy o szerokich liściach.

Bez namysłu wspiąłem się na kładkę, która zastępowała ganek i miałem zamiar wejść do wnętrza chaty, gdy zobaczyłem w uchylonych drzwiach lufę staroświeckiej rusznicy. Nie miałem czasu zdziwić się, gdy posłyszałem tuż nad sobą głos starej wiedźmy, która wręcz oznajmiła, że nie przyjmie nikogo w domu, gdyż ma piękne córki.

Byłem zmęczony ciężką przeprawą i ani pomyślałem o spędzeniu nocy w lesie. Raczej śmierć brałem w swe obliczenia niż powrót do rozbitej łodzi. Napróżno — tylko starałem się zrozumieć jaki związek może mieć piękność córek gospodyń z nieszczęściem rozbitków, którzy przed chwilą wyrwali się z objęć „przygody". Elek nie stracił animuszu wraz z amerykańskim kapeluszem, ale jak zwykle w podobnych razach wysunął się naprzód i odepchnął mię, mrucząc z udanem oburzeniem:

Ty awanturniku! Ja Ciebie biorę w podróż, a ty się nie znasz na grzeczności? — Odejdź stąd! Stara rozpromienionym wzrokiem powitała swego sprzymierzeńca i potakiwała jego słowom rozczochraną straszną głową. Widząc, że główne niebezpieczeństwo minęło odważyła się nawet odemknąć drzwi. Za nią skupione w kącie stały młode dziewczęta, opowiadając sobie szeptem o łodzi rozbitej przez fale i o cudownem ocaleniu cudzoziemców. Rzeczywiście, dziewczęta wyglądały tak powabnie, że przestałem już dziwić się obawom ich matki.

— Wiedziałem dobrze, że nic się nam złego nie stanie mówił Elek gospodyni i dodał z niedbałym uśmiechem jakby sam do siebie:

Przecież dobrze wiemy conasczeka!

Ho... ho.. a skąd to można wiedzieć? zapytała stara drżąc o los swych synów, którzy wyjechali daleko na połów tambaki[12]).

„To bardzo proste. — Losy nasze są przecież wypisane na rękach" odparł zwolna i chciał odejść, ale powstrzymały go głosy dziewcząt. Zdołały one wytłumaczyć matce, że idzie tu o los braci i zbiegły po desce z wyciągniętemi rękoma.

Elek bronił się jeszcze, ale gdy zagrodziły mu drogę — dał za wygrane. Z miną „zawodowego" fakira spoglądał kolejno na rozwarte dłonie — jednak nie mówił nic. Przy jednej dłoni pokiwał głową, przy drugiej uśmiechnął się zachęcająco, innej znów przyglądał się bacznie i twarz jego oblekła przerażenie. „Niech pan mówi, niech pan coś powie!" prosiły wszystkie naraz a najwięcej sama pani domu, która nie mogła wytrzymać z ciekawości i obawy.

Nie czekałem na wynik wróżb, ale skorzystawszy z zamieszania, wszedłem do izby i przyciągnąłem do kąta grubą „matę" z miritisejry[13]). Wystarczyło mi głowę podeprzeć łokciem, aby zasnąć twardo. A Elek tymczasem przepowiadał przyszłość i to podobno, tak szczegółowo, że każde jego przemówienie kończyły okrzyki podziwu i radości.

Wreszcie po skończonych wyroczniach — towarzysz uznał za stosowne przebudzić mnie i zaprosić na wyborną kolację.

---

[12]) tambagjui — gatunek ryby.

[13]) miritiseira — palma, z której włókien wyrabiają powrozy.

„Coś ty nagadał tym warjatkom, że mnie się tak boją? spytałem Elka po rosyjsku, ogryzając z wilczym apetytem kawał tatė[14]).

Nie otrzymałem odpowiedzi.

Po kolacji przypomniałem sobie o fotografjach, więc wyjąłem je z woreczka, zawieszonego na szyi, aby wysuszyć. Kobiety, widząc zawartość torebki, wydały okrzyk przerażenia i rzuciły się do ucieczki. Spojrzałem zdziwiony, ale nie przerywałem rozlepiania swych pamiątek.

Z fotografij rodziców pozostały szare plamy, a podobizna mojej znajomej rozpłynęła się i tylko kwiat w jej włosach ocalał. Właśnie przycisnąłem usta do resztek fotografji mej matki, gdy spostrzegłem Elka wystraszonego podobnie jak dzikie dziewczęta.

Natłok rodzinnych wspomnień pierzchł...

Albo oni powarjowali albo ja mam halucynacje — myślałem strapiony, a zdziwienie wzrosło jeszcze, gdy posłyszałem słowa mego towarzysza skierowane do kobiet:

„Tak wyglądają te amulety. Cieszcie się! — Mój przyjaciel pocałowaniem odwrócił żałobę, wiszącą nad tym domem".

Okazało się, iż Elek, aby przezwyciężyć resztki oporu, nastraszył ją, iż noszę w torebce na szyi talizmany przeciw wszystkim nieszczęściom. Rzeczywiście dziewczęta, obserwując moją emocję i widząc szare, fantastycznie poplamione kartoniki z których złaziła emulsja, — mogły uwierzyć w ich tajemnicze znaczenie. O nocleg już nie potrzebowaliśmy się troszczyć, gdyż piękne córki pani domu przyszykowały nam wygodne posłanie, a na dobranoc — w skrytości przed matką—prosiły o mujrakitany[15]) szczęścia rodzinnego. Śmiałem się z ich dobrodusznej, dziecinnej naiwności, ale i śmiech mój przyjęły tylko za rodzaj dobrej wróżby.

I oto synowie, których powrót tak nieomylnie przewidział Elek, przybyli w nocy, a od samego rana zawrzała praca przy naprawie „Amaranty".

Po długich zabiegach całej rodziny łódź wyglądała jak nowa a maszt nieco niższy od poprzedniego, został wycięty z drzewa akapu[16]), z którego słynie wyspa Muritipuku. Wymyta burta lśniła czerwienią na pogodnem słońcu i zachęcała do dalszej podróży.

Cicha, przezroczysta tafla wody, potrącana przez srebrne rybki nie płynęła, ale przesuwała się bez zmarszczek, bez fałd w dół rzeki.

Nic już nie wspomina wczorajszej zawieruchy: ani niebo rozdęte jak bańka mydlana, ani rzeka, w której pływa dla ochłody słońce.

W radosnem usposobieniu wsiedliśmy do łodzi i wkrótce piersi żagla nabrzmiały w objęciach wiatru.

„Amaranta" płynęła wgłąb wyspy.

Znów zaczął się jeden z ciężkich, ale jakże beztroskich dni. *Zbigniew Zaniewicki.*

---

[14]) tatė — pancernik.

[15]) muiraquitan — amulet — indyjski najczęściej z jaspisu.

[16]) acapu — gatunek drzewa używanego na budowę łodzi. obra

NA MARGINESIE

UROCZYSTY OBCHÓD DZIESIĘCIOLECIA Związku Artystów Scen Polskich w ostatnich dniach marca odbył się bez właściwego przedstawicielstwa literatury polskiej.

Artyści scen polskich zaprosili na swą uroczystość Stowarzyszenie Dziennikarzy i Literatów (a więc stowarzysznie, jak już sama nazwa głosi, — o przewadze pierwiastków dziennikarskich) pominęli natomiast Związek Zawodowy Literatów Polskich oraz PEN-Klub warszawski.

Pominięcie to jest zapewne zwykłem niedopatrzeniem. Jeżeli zwracamy na nie uwagę, to nie dlatego, iżbyśmy kolegów artystów scen polskich podejrzewali o złą wolę. Chodzi nam raczej o tak celową i piękną łączność, jaka istniała już kiedyś między artystami scen a literaturą, oraz o utrzymanie tej łączności tak ważnej dla rozwoju polskiej sztuki.

* * *

DZIEŃ KSIĄŻKI w Niemczech był dniem wielkiej uroczystości narodowej, w której wzięli udział wszyscy przedstawiciele państwa. Dzień ten urządzono ze względu na upadek czytelnictwa w Niemczech. Upadek ten daje jednak nakłady dobrej, wartościowej książki literackiej (jak np. Remarque'a Im Westen nichts Neues) osiągające cyfrę przeszło 100.000 gemplarzy, rozsprzedanych w przeciągu miesiąca od czasu ukazania się książki w sprzedaży.

Dzieło Remarque'a nie jest bynajmniej uliczną sensacją, nie jest też wyjątkowo wybitnem arcydziełem z punktu widzenia sztuki pisarskiej. Jest poczytną, piękną lekturą. Jeżeli przyjmiemy, że Niemcy liczebnie przedstawiają rynek dwa razy taki, jak nasze czytelnictwo (30 miljonów na 60 miljonów), to jeszcze poczytnej książki polskiej winno rozchodzić się (zmieńmy nawet długość czasu rozsprzedaży) 50 tysięcy w przeciągu pół roku. Wiemy jednak, że tak nie jest, że powodzenie wielkiej aktualności literackiej w Polsce osiąga maximum cztery tysiące egzemplarzy w ciągu trzech do czterech miesięcy.

Z powyższego wynikałoby, iż nasz rynek czytelniczy ma się do rynku niemieckiego jak jeden do 50 i to już po wyrównaniu ilościowych różnic masy czytelniczej, oraz grubej protekcji na naszą korzyść co do czasu rozchodzenia się książki.

Czyż nie czas najwyższy, by wszystkie związki i stowarzyszenia literackie pomyślały już teraz — właśnie z racji wystawy w Poznaniu o dniu książki polskiej na tej wystawie!?!

* * *

WĘGIERSKA FIRMA WYDAWNICZA „DANTE" wydała w ostatnich dniach „Chłopów" Reymonta w starannym przekładzie zasłużonego na niwie zbliżenia literatur polskiej i węgierskiej, znanego w Polsce z odczytów, oraz prac literackich Janosza Tomcsanyi'ego.

Ta sama firma „Dante" wypuściła w ostatnich dniach na rynek czytelniczy węgierski w tłomaczeniu Józefa Havas'a Faraona Bolesława Prusa.

Janosz Tomcsanyi opracowuje obecnie cały plan kampanji wydawniczej, mającej za cel poznajomienie Węgrów z najcelniejszemi dziełami polskiej literatury współczesnej. Olbrzymi wysiłek wydawniczy (dwa tak

obszerne dzieła, jak „Chłopi" i „Faraon") węgierskiej firmy, wytrwała praca tłomaczów świadczą niezbicie o wielkiej sympatji, jaką cieszy się na Węgrzech nasza literatura.

W stosunku do literatury węgierskiej współczesnej (prócz dramatycznej) mamy, zdaje się, dość znaczne zaległości, które jedna z młodych ruchliwych firm wydawniczych naszych, propagujących przekłady obce, mogłaby chyba wyrównać.

* * *

ZASŁUGUJE NA UWAGĘ dyskusja na temat zagadnień krytyki, pomiędzy M. Dąbrowską a E. Breitetrem w ostatnich numerach „Wiadomości Literackich". Nasze literackie życie umysłowe w przejawach zewnętrznych jest jużto ubogie, jużto nie wznosi się ponad poziom wzajemnych wymówek, czy zdawkowych utarczek. Na tem tle i samo stanowisko autorki, chociaż zbyt jednostronne, i gruntownie opracowana, świetna w argumentach odpowiedź krytyka, stanowią nader dodatni wyjątek.

Zasługuje na uwagę doskonale sformułowany z wielkim wdziękiem pisarskim opracowany artykuł Karola Szymanowskiego w 1 i 2 numerze „Drogi" za rok bieżący „O romantyzmie w muzyce". Dochodząc do zasadniczej swej tezy, pisze Szymanowski bardzo słusznie:

„Modne określenie: „nowa rzeczowość" (die neue Sachlichkeit) może być zrozumiane djalektycznie w dwojaki sposób: Albo, jako zastosowanie sztuki do płaskości dzisiejszego życia (to płaskie stosowanie sztuki istniało zresztą w każdej epoce) i na tem oprzećby można jej antiromantyczny charakter, lub wprost przeciwnie: jako dążenie do absolutnej ponadepokowej wartości dzieła sztuki, też w zasadzie antiromantycznej. Pomiędzy owemi biegunami życia: punktem wyjścia pospolitej codzienności i dalekim do osiągnięcia ideałem, rozgrywa się wewnętrzny dramat twórczego artysty, poszukującego najpewniejszej miary i wagi możliwych do zdobycia wartości.

* * *

„CENTRALNAJA EWROPA", tygodnik wydawany po rosyjsku w Pradze Czeskiej przynosi w numerze z 28/III 43-cim, streszczenie artykułu prof. Vydry „O stosunkach teatralnych pomiędzy Polską a Czechosłowacją". Artykuł ów drukowany był w „Ceskoslovenskiej Republice", jako dopełnienie do pracy p. Vydry o dramacie czeskim w Polsce.

* * *

SENAT UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO utworzył przy Wszechnicy krakowskiej lektorat wymowy. Bardzo słusznie! Senat wychodzi z założenia, że ludzie, których połowa życia zbiega przecież na wykładaniu, na nauczaniu przedmiotu nauki, powinni władać dobrze i poprawnie sztuką wymowy. Iluż znanym i cenionym profesorom, czy nauczycielom brakuje w ich wymowie po kilka, lub kilkanaście liter! Iluż ludziom, stającym codziennie nieomal na katedrze, obca jest całkowicie sztuka dobrze wygłoszonego zdania, okresu, właściwego brzmienia słowa i t. p.

W związku z powyższem nadmieniamy, iż dawno już upominaliśmy się o podobny lektorat — sztuki pisarskiej. Czyż nie jest rzeczą conajmniej żałosną, że większość nauczycieli i profesorów języka polskiego i nauk humanistycznych wogóle, otrzymuje doktoraty i stopnie naukowe, nie przeszedłszy przez studjum choćby pobieżne, — praktyki pisania? Fachowcy, którzy po ukończeniu studjów uniwersyteckich, mają potem przez całe życie wkładać, wtajemniczać w kunszt prozy i poezji, nie mają przecież praktycznego pojęcia o tej sztucze, nie napisali w życiu swem ani jednego opowiadania, nie zatrzymali się praktycznie nigdy nad problemem zdania kompozycji, rytmu prozy, czy poezji.

Szukając analogji, — moglibyśmy powiedzieć, — że jest to tak, jakgdyby naprzykład dowództwo oddziałów na froncie powierzano teoretykom, którzy nigdy praktycznie żadną jednostką nie dowodzili nawet na ćwiczeniach wojennych.

Takimi dowódcami są dziś prawie wszyscy nauczyciele literatury. Poprawiają oni zadania swych uczniów — a sami nigdy na polu opisu, opowiadania i t. p. nie próbowali nawet swych sił! *jkb.*

ZŁOTA WOLNOŚĆ

Zofji Kossak-Szczuckiej.

Stosunek do wydarzeń historycznych może być statyczny lub dynamiczny. Pierwszy wyraża się w inwentaryzacji zastanego materjału w ściśle odtworzonych ramach dawnego życia. Drugi — jest próbą przetworzeń tej dawnej rzeczywistości na obraz i podobieństwo współczesnych aktualnych form istnienia. Jeżeli więc statyczny stosunek jest w rezultacie beletrystyczną reprodukcją faktów — dynamiczny jest procesem produkcji, jest takiem kształtowaniem przeszłości, jakgdyby miała ona być dalszym ciągiem, niemal konsekwencją dziejową naszej własnej egzystencji.

Jasny stąd wniosek, że dawne przebiegi życia są i łatwe i trudne do opowiedzenia. Wystarczy zlekka a dramatycznie udrapować powierzchnię minionego istnienia, żeby wywołać wrażenie prawie egzotyczne. Egzotyzm ten podobny jest wprawdzie do efektu prymitywnych rozrzewnień na temat własnego dzieciństwa, ale dzięki temu staje się momentem wypoczynkowym wobec współczesności.

Sprawa się komplikuje, gdy przeszłość staje się przenośnią obrazową naszego czynnego stosunku do życia. Wtedy musi być przebudowana niemal od podstaw. Tego rodzaju stanowisko jest podstawą twórców. Trzeba się bowiem przedzierać do owej przeszłości poprzez palące zagadnienia dnia dzisiejszego, pochwycić wspólność rytmu dawnego i nowego życia. Nie wystarczy już odtworzenie topografji psychofizycznej minionej epoki; autor musi sięgnąć do geologicznych złożysk opisywanej rzeczywistości, wydobyć na jaw utajone jej **możliwości**, w najdrobniejszych faktach anegdoty wyczuwać symbolikę życiową, przekraczającą ramy określonego czasu. Przy tem wszystkiem jednak, nie może to być dowolny, fantazyjny haftcik na kanwie epoki, przeciwnie, epoka dana powinna narzucać się wierną płaskorzeźbą swego stylu historycznego, słowem — wydobywając wewnętrzne możliwości t. zw. terenu — nie wolno wyjść poza jego granice. Tego wymaga postulat formy, będącej wykładnikiem twórczo rozrastającej się treści.

Przydługi ten wstęp wydał mi się konieczny ze względu na rzadkość tego gatunku literackiego, jakim jest powieść historyczna w bieżącej beletrystyce, zaognionej wszystkiemi zagadnieniami aktualności.

P. Kossak Szczucka podjęła zadanie odpowiedzialne, wymagające wielkiego wysiłku duchowego. Trudu jej nie mierzyłbym zdobyczami Sienkiewicza, jak to tu i ówdzie czyniono. Ustalać pokrewieństwa literackie można jedynie na podstawie wspólnego stosunku do rzeczywistości bliskich sobie indywidualności. P. Szczucka nie miała potrzeby przezwyciężać Sienkiewicza, żeby osiągnąć własny wyraz artystyczny w układaniu kompozycji historycznej. Wystarczyło przezwyciężenie i opanowanie stosunku do współczesności dla zdobycia prawa do oryginalnego wniknięcia w przeszłość. Łączności doszukiwałbym się w innej płaszczyźnie. W epoce Sienkiewicza wizja historycznych zdarzeń w pewnym sensie była klapą bezpieczeństwa wobec beznadziejnych spojrzeń w przyszłość. Dziś wszystko zdaje się prężyć pełną perspektywy nadzieją. A przecież istnieje paradoksalny związek z tamtemi czasami, choć powody tej wspólności są tak rozbieżne. Bo oto mimo tak radykalnie zmienionych warunków narodowo - społecznych, literatura bynajmniej nie jest naładowana skrystalizowaną dynamiką ideową. Przeciwnie, właśnie w tych odnowionych warunków czuje się ona zdezorjentowaną, często pozbawioną zasadniczej postawy, nie wiedzącą o co znów walczyć, żeby się stać jak za dawnych czasów trybuną czy kazalnicą.

Przedtem rzeczywistość była odskocznią dla pisarzy, którzy z tych czy innych względów nie mieli sił ani woli do jej przeorania — dziś ta nowa, rosnąca, tajemnicza rzeczywistość staje się zalewającą falą, przez którą trzeba się przebić. Ale przebić się to znaczy zanurzyć się w niej, przemierzyć odważnym rozmachem wszerz i wzdłuż. Nie każdego stać na takie ryzyko, bo i ci, którzy nurkują w głąb t. zw. nowoczesności, z wielkim mozołem wypływają na powierzchnię, wiele tracąc z wydartych głębinom zdobyczy w procesie dźwigania ich na poziom formalnego opanowania. Niektórzy więc odchodzą od bezpośredniego zetknięcia z temi koniecznościami ku prześwietleniu ich za pomocą metaforycznego stosunku do obrazów przeszłości.

Tak właśnie uczyniła autorka „Złotej Wolności". W dotychczasowych jej pracach dał się wybitnie odczuć samozachowawczy stosunek do spraw doświadczonych i przeżytych. Nie wyciąga ona ich konsekwencyj społecznych, ale je zestawia i ocenia ze stanowiska tradycyjnej ciągłości narodowej. Należy do tych autorek, które wypełniają luki, spowodowane rewolucyjnemi skokami literatury. Zasadniczym środkiem w tem wiązaniu i prostowaniu poszarpanych więzów między dniem wczorajszym a dzisiejszym jest styl.

Spokój, powaga i wytrzymałość opisu uśmierzają w interpretacji Szczuckiej gorączkowość objawów życiowych. długość ewolucyjna jej linji opisowej nagina uwagę czytelnika ku epickim wartościom tematu. Ogromna swoboda retoryczna operowania faktami, czynami i przeżyciami w takiej „Pożodze", bez względu na polityczne sympatje i antypatje autorki, pozwalała już ocenić siłę jej instynktu historycznego w tej pamiętnikarskiej ocenie zdarzeń. W znacznie większym stopniu ujawniła Szczucka tę władzę w „Złotej Wolności".

Perspektywa dziejowa dała jej możność zobjektywizowania osobistego stosunku do tematu. I choć autorka nie stworzyła jednolitej kompozycji, choć utwór jej nie wiąże się wszystkiemi, dość licznemi wątkami w jednolitą dramatyczną akcję, choć system posuwania i rozwijania fabuły nosi charakter łańcuszkowy — od przypadku do przypadku — przecie autorka zbliżyła olbrzymi świat dawnych frazesów i ludzi naszym czasom, i sshumanizowała anonimową rzeczywistość historji.

Tematem posłużyły ruchy religijne na przełomie 16-go i 17-go wieku. Autorce jednak nie zależy na odtworzeniu istoty tych ruchów, na przedstawieniu ich genezy, rozwoju i skutków, ale na uwydatnieniu fermentu, jaki wywołały w psychice ówczesnej. Właściwie więc, mimo iż p. Szczucka z współczującą objektywnością obrazuje przebiegi przeżyć wyznawców Arjanizmu w ich walce z katolicyzmem, jednak przeżyciami religijnemi swoich bohaterów posługuje się jak środkiem artystycznym dla uwydatnienia plemiennego charakteru duchowości. Motywy religijne są tu tłem, albo punktem wyjścia dla przeprowadzenia ewolucji życia od teorji do praktyki.

Autorka więc pokazuje liczne i różnorodne sceny nasycania się programem nowej wiary, zręcznie inscenizuje sytuacje, prowokujące demagogję i uparte, ślepe zacietrzewienie w proklamowaniu wzniosłych zasad chrystjanizmu, mimo iż praktyka na każdym kroku rozbija oderwaną od życia teorję. Żeby dodać natężenia tej postawie, łączy autorka buntownicze stanowisko religijne arjan z opozycją polityczną rokoszującej szlachty, a wciągnąwszy uczucia religijne w orbitę wzruszeń narodowo - państwowych, demonstruje trjumf twardych, często tragicznych konieczności życiowych nad zbawienną, harmonijną i może najbliższą Boga formułą religijną, ale oderwaną od potrzeby bytu, pozbawioną organizacji, jałowiejącą w dumnej samotności.

Zwycięża katolicyzm i zwycięża brutalna, ale wkorzeniona w realizm życia racja państwowa. Zaczyna się powolna dezercja członków Zboru Chrystjańskiego. Autorka z całą świadomością gradacji artystycznej wskazuje na różnice przyczyn odstępstwa od wiary w zależności od wartości psychicznej. wyznawców.

Więc Pietrek Pielsz, osiłek i rębacz, przechodzi na stronę katolików, pod ogniem temperamentu i z tą lekkością decyzji, jakby przechodził z chorągwi do chorągwi. Nie wielką będzie miał katolicyzm z niego korzyść, ale i arjanie nie mieli żadnej. Od tych prymitywnych powodów któremi i anonimowa większość szlachty się kieruje w porzucaniu nowych zasad dla starych, przechodzi autorka do głębszych objawów przełomu wewnętrznego w osobie Sebastjana Pielsza, samotnika, religjanta, pełnego ponurej ascezy etycznej.

Analiza psychologiczna na tle łamań uczuciowo-myślowych, tej postaci, czyni zaszczyt charakterologicznej mądrości autorki. Sebastjan od pierwszej chwili wydaje się wykuty z jednej bryły i jak bryła nieczuły na wpływy, potrzeby i reakcje życia. Będzie drżał w głuchym lęku przed samemi możliwościami reakcji

wewnętrznej, ale tem rzetelniej zamknie się w skorupie woli. Wyczuwa się w tym człowieku, który cierpi z powodu kruszenia się rozgadanych zborów, że chciałby on własnym, osobistym uporem, własnem zamknięciem się w sobie uratować to, co ginie w społeczeństwie arjańskiem. W istocie ten jeden człowiek do ostatniej chwili pragnie się ostać za całą brakującą organizację. I jego jednak zwycięża życie, ale jak źródło głęboko odkopane mozolną pracą powolnych, podświadomych przemian. Zwyciężony Sebastjan — czujemy to — będzie napewno zwycięzcą.

W związku z procesem przemian tego bohatera, otwiera autorka nowy teren akcji i, stwierdźmy odrazu, najświetniej zobrazowany. Sebastjan, któremu religja zabrania używać miecza, wciągnięty jest w zębate koło wojny. Porażka miłosna, której doznał w mimowiednej rywalizacji z prostodusznym Pietrkiem, staje się pierwszym, choć nieświadomym sygnałem przemian. Teraz ta akcja przetworzeń wewnętrznych ma być wygrana na szerokiem podłożu działań, namiętności i wybuchów imponującego pochodu na Moskwę. Z brawurową a jednak subtelną intuicją maluje Szczucka etapy fizycznego i duchowego losu rycerskiej zbiorowości, budując wielopiętrowy gmach polskich moralnych wartości od suteren wulgarnej pospolitości do wyżyn wzniosłej ofiary, z całym przepychem dziejowego stylu epoki, odtworzonej pracowicie do najdrobniejszych szczegółów.

Sprawy religijne umiała więc autorka zespolić z politycznemi, historję przeżyć osobistych z dziejami mocarstwowemi Polski. A chociaż w starciach między innowiercami a katolicyzmem nie wydobyła głębszych tonów poza obrazą i utajoną zazdrością z jednej strony a poczuciem zorganizowanej i organizacyjnej pewności — z drugiej, siła wytrzymałości opisowej, wnikliwości języka, jego lapidarna prężność pozwoliły autorce ogarnąć te dziedziny egzystencji zbiorowej, w których racja życia indywidualnego sprzęga się ze zbiorową i jedna staje się funkcją drugiej. W ten sposób — szczególniej w drugim tomie — osiąga Kossak Szczucka duże rezultaty artystyczne a jeszcze większych każe się spodziewać.

Tęga i mocna proza.

Leon Pomirowski.

WSPOŁCZESNA LITERATURA POLSKA PO WŁOSKU

Od paru lat ożywiła się wielce polonistyka we Włoszech!

Posypały się przekłady arcydzieł Trójcy romantycznej, ukazał się również szereg szkiców i studjów o wielkich Romantykach.

Wtem nagły zwrot ku współczesności!

Wielką popularnością we Włoszech cieszy się Sienkiewicz, którego każdy czyta i każdy zna!

Oby więcej pisarzy tak się zaaklimatyzowało na słonecznej ziemi włoskiej, a nie byłoby chyba żadnego kłopotu z propagandą na tym tak miłym i wdzięcznym dla nas terenie!

Przytem nasuwa się jednak wielka trudność, polegająca z jednej strony na należytym doborze utworów do przekładu, z drugiej zaś strony na dobrych tłumaczach.

Co do tłómaczy sprawa przedstawia się we Włoszech względnie dobrze. Jest tam kilku sumiennych, pracowitych i uczciwych tłomaczy, niezawsze jednak umiejących wczytać się należycie w tekst i zrozumieć ducha utworu, co jest przecież w przekładzie jedną z najważniejszych rzeczy.

Trudniejsza jest sprawa z odpowiednim doborem dzieł.

W ostatnich latach wyszedł we Włoszech szereg utworów współczesnych prozy polskiej.

Jakie zaintresowanie obudziły te dzieła w publiczności włoskiej? Na razie jeszcze słabe! Czemu to przypisać?

Przeważnie nieodpowiedniemu wyborowi utworów choćby nawet najlepszych autorów polskich.

Z dzieł literatury polskiej ostatnich dziesiątek lat szczere zainteresowanie wzbudził jedyny dotychczas wydany tom „Chłopów", w przekładzie Aurory Beniamino. Tem trudniej można zrozumieć dlaczego mija już drugi rok od wyjścia pierwszej części „Chłopów", a nie słychać nic o dalszych tomach?!

Bezsprzecznie dużą atrakcją Reymonta, obok nieprzemijającej wartości tej epopeji chłopskiej jest dla Włochów, podobnie zresztą jak dla wszystkich innych narodów, „fascina" (urok), że dzieło to zostało nagrodzone naiwyższą literacką nagrodą Nobla!

Tembardziej należałoby przyspieszyć wydanie całości i w ten sposób rozszerzyć bez trudności i bez wysiłków krąg czytelników włoskich.

Przed niedawnym czasem wydala firma wydawnicza „Slavia" w Turynie, kierowana przez Alfreda Polledro, doskonego znawcę literatury rosyjskiej, tom nowel Żeromskiego pod tytułem: „Tutto e Nulla" w bardzo inteligentnym i dobrym przekładzie polonistek turyńskich: Klotyldy Garosci i Krystytny Agosti Garosci.

Ta pięknie wydana książka stanowi pierwszy tom serji polskiej dzieł. współczesnej literatury.

Przyklasnąć należy z całego serca szlachetnej inicjatywie prof. Polledro i przyjaciół turyńskich!

Jako najbliższy tom ukażą się nowele Reymonta w przekładzie D-ra Ricarda, jako dalszy: Sieroszewskiego „Zamorski Djabeł" w przekładzie Janiny Gromskiej. Panie Garosci i Agosti, które w pierwszym swoim przekładzie Żeromskiego pokonały doskonale trudności języka autora „Ludzi bezdomnych" i wczuły się głęboko w gorąco - patrjotyczną myśl Żeromskiego pracują obecnie nad przekładem „Popiołów".

Na tom „Tutto e Nulla („Wszystko i nic") złożyło się osiem nowel, a mianowicie: nowela tytułowa, „Dr. Piotr", „O żołnierzu tułaczu", „Tabu", „Cień", „Rozdziobią nas kruki, wrony", „Ananke" i „Zmierzch".

Ten trafny wybór daje doskonały przegląd rozwoju twórczości Żeromskiego od nowel najwcześniejszych aż po okres prawie ostatni.

Starannie i estetycznie wydana książka (poco jednak na okładce nad napisem „Il Senio Slavo" figurują te kopuły cerkiewek rosyjskich?!), poprzedzona jest wstępem pióra Krystyny Agosti. Autorka daje dobrą, krótką syntezę twórczości Żeromskiego na tle współczesnej epoki literackiej.

Po Żeromskim przyszła we Włoszech kolej na najwdzięczniejszy utwór Juljusza Kaden Bandrowskiego!

Przed paru dniami ukazało się w Wenecji nakładem firmy: „La nuova Italia" Kaden Bandrowskiego „Miasto mojej matki" — „La cita di mia madre", w serji dzieł „Narratori moderni".

Przekład ten zawdzięczamy jak tyle innych Henrykowi Damianiemu.

Wydanie książki, powiedzmy to szczerze, jest niestety mniej udane niż inne dotychczasowe dzieła polskie po włosku.

Okładka jest wręcz nieprzyjemna; rysunek ma przedstawiać matkę, tymczasem to jakaś „Baba-Jaga" z rozpuszczonemi włosami w przyciemnionem świetle dwóch świec, przypominających raczej gromnice!

Gdzież tu jaka wspólność z wyidealizowaną przez Kadena matką?!

Niestety na okładce razi również wadliwa pisownia autora: Bandrowsky.

Na okładce razi wadliwa pisownia autora: Bandrowsky.

Dziwić się należy, że Damiani, tak sumienny zawsze i skrupulatny w pracy nie dopatrzył dostatecznie korekty i przepuścił tak poważny i krzywdzący autora błąd!

Przekład, jest wierny, dobry, może jednak cokolwiek za pedantyczny w ścisłości, w dosłownem oddawaniu tekstu, skutkiem czego zatraca się w wielu ustępach poetycki polot i barwność stylu Kaden-Bandrowskiego.

Dobrze się stało, że Damiani, ten niezły już wcale znawca naszej literatury współczesnej (niegorzej zna zresztą Kochanowskiego i Mickiewicza!) wybrał właśnie tę książkę, aby ją przyswoić Włochom!

Osobiście mam wrażenie, że te piękne, pełne poezji i szczerego liryzmu opowiadania wzbudzą we Włoszech zainteresowanie i znajdą licznych czytelników wśród dorosłych i maluczkich.

Fr. S.

POLONICA FRANCUSKIE

Polacy w Awinjonie.

Ukazała się powieść pióra Edwarda Méra, członka „Société des Gens de Lettres", bliskiego współpracownika w czasie Wielkiej Wojny generała Archinard'a, pierwszego komendanta polskiego oddziałów na froncie francuskim. Tytuł powieści — „Elodie ou les Tendresses d'Avignon (1850)". Daje ona obraz wierny i żywy społeczeństwa francuskiego w połowie 19-go wieku, a nas interesuje specjalnie obecność wśród bohaterów powieści grupy emigrantów polskich, którzy trafili na południe Francji po wypadkach tragicznych 1848 - 1850. Kult dla Napoleona I, entuzjazm dla polityki narodowościowej Napoleona III, umiłowanie poezji romantycznej, zamiłowanie do studjów wojskowych, wszystko to bardzo wyraźnie podkreślił w swoich bohaterach powieściopisarz Francuz, może czytając i słysząc o niewygasłem zarzewiu tych uczuć w naszej epoce, kiedy, rozgorzało słowem, zwiastującem zmartwychwstanie Niepodległej? Wobec niewątpliwie przyjaznych nam intencyj autora przykrym dysonansem dla czytelnika — Polaka brzmi stałe dodawanie w tej powieści, na modłę rosyjską, końcówki „ij" do nazwisk polskich, łatwe do skorygowania przy następnych wydaniach powieści, która poza Francją w Polsce chyba zyska licznych czytelników.

Studja polskie we Francji.

W artykule, drukowanym w lwowskim miesięczniku „Ruch Słowiański" p. t. „Organizacja studjów słowiańskich we Francji" K. Smogorzewski stwierdza, że od ukończenia wojny we Francji nietylko nastąpiło znaczne pogłębienie studjów słowiańskich wogóle, lecz również daje się zauważyć stała poprawa w organizacji studjów polskich. Autor opisuje dawniejszy i obecny stan studjów słowiańskich w Collège de France, w Ecole des langues orientales, w Institut des Etudes Slaves, w Sorbonie i na prowincji, zwłaszcza w Lile. Miasto to stało się, obok Paryża, ośrodkiem polonistyki we Francji.

Zupełnie słusznie zaznacza K. Smogorzewski, że naukowy świat francuski stroni od polityki, ale polityka bardzo się liczy ze zdaniem uczonych francuskich. Profesorowie francuscy odegrali niemałą rolę jako rzeczoznawcy w łonie delegacji francuskiej na konferencji pokojowej.

Wszelkie wysiłki, zmierzające do zwiększenia liczby uczonych francuskich, znających gruntownie Polskę, to praca ogromna, na lata obliczona. Tylko przez szkołę i uniwersytet można położyć kres obecnej nieznajomości Polski, z jaką się spotykamy u tylu przeciętnych Francuzów.

Charakterystyczny list.

Syn wieszcza Adama Mickiewicza Józef, znany był od dawna ze swojej skłonności do nieudzielania się rodakom, do unikania wszelkich fukcyj reprezentacyjnych, honorowych w kolonji polskiej w Paryżu. Po śmierci brata swego Władysława, czynione były pewne starania, aby skłonić jedynego żyjącego obecnie syna poety do porzucenia dotychczasowej rezerwy i wyrażenia zgody zasadniczej na branie udziału na honorowanem miejscu, na wszelkich obchodzonych w Paryżu uroczystościach patrjotycznych polskich.

Dopominał się tego i redaktor „Słowa wileńskiego Cz. Jankowski, ale za starania swoje, w najlepszej intencji czynione, doczekał się takiej reprymandy, że nie pozostało mu nic innego, jak ogłosić list autentyczny w tej sprawie samego Józefa Mickiewicza. List ten brzmi:

„Do Szanownej Redakcji „Słowa", ul. Adama Mickiewicza w Wilnie.

Brat mój Władysław Mickiewicz całe życie swoje poświęcał obronie sprawy polskiej we Francji, dlatego jeg oznano. Ja zaś całe życie trzymałem się daleko od publicznego życia wśród rodaków, ale zawsze żyłem w bliskich i serdecznych stosunkach z bratem moim i rodziną jego. Bywałem tam często, ale chodziło mi o widzenie isę z rodziną a nie z jej otoczeniem. Jeżeli grywałem na fortepianie w kinie to dla mojej

przyjemności, a nie z potrzeby. Każdy układa sobie życie jak mu się podoba. Nigdy w biedzie nie byłem. Dziś w moim wieku zmieniać swego życia nie będę i nie życzę sobie stać się honorowym przewodniczącym obchodów polskich.

Z prawdziwem poważaniem

Józef R. Mickiewicz.

Ogłaszając list ten wielce charakterystyczny, Cz. Jankowski „zamyka wszelkie komentarze do tak niespodziewanie wynikłego incydentu".

T. Gleyden.

KRONIKA ZAGRANICZNA

Wystawa sztuki w Wiedniu.

W Kunstlerhausie w Wiedniu odbyło się uroczyste otwarcie pięćdziesiątej wystawy sztuki.

W związku z temi uroczystościami urządzono zbiorową wystawę obrazów znanego malarza Maksa Liebermana, który wraz z Lovis Corinthem reprezentowali nowe kierunki w malarstwie niemieckiem.

Nieznane rękopisy Rilke'go.

Do zbiorów w pruskiej Bibljotece państwowej zakupiono ciekawy zbiór listów Rainera Maria Rilke'go, pisane do narzeczonej w latach od 1893 do 1896. Oprócz 130 listów jest jeszcze czternaście rękopisów, przesłanych również narzeczonej.

Slovenske Dielo.

W Bratislawie zaczął wychodzić nowy miesięcznik literacko - artystyczny: „Slovenske Dielo". Pismo to ma być według zapowiedzi odbiciem życia duchowego na Słowaczyźnie. Spotykamy tu utwory poetyckie i krytyczne najmłodszego pokolenia Słowaków, których życie kulturalne rozwija się coraz intensywniej i samodzielniej.

W pierwszych dwóch numerach współpracowali poeta Ivan Krasko, Tomasik, Lukać, dalej powieściopisarz Urban, który rozpoczął druk nowej powieści.

W dużej mierze uwzględniony jest teatr i sztuki piękne.

Lehar w filmie.

W Wiedniu sfilmowano w zajmujący sposób życie znanego kompozytora operetek, Franza Lehara, od początków jego karjery, od „Druciarza" aż do „Wesołej wdówki".

Specjalną atrakcją tego filmu jest okoliczność, że Lehar gra sam rolę tytułową.

„Jeden, dwa, trzy" Molnara.

Znany autor węgierski, Franciszek Molnar, który cieszy się uznaniem w wielu krajach Europy, wykończył obecnie nową sztukę pod tytułem: „Jeden, dwa, trzy".

Akcja sztuki o silnem zacięciu satyrycznem toczy się przez półtorej godziny bez przerwy.

Premjera oczekiwana jest wkrótce w Budapeszcie i w jednym z wybitnych teatrów berlińskich.

Nowe dzieła Tristana Bernard.

Tristan Bernard, który niedawno temu napisał romans kryminalistyczny wykazując, że potrafi połączyć pierwiastek poetycki i czysto narracyjny z sensacjami dedektywistyczno - kryminalistycznemi, pracuje nad komedją pod tytułem: „Historja Francji".

„Pietro Aretino", H. J. Rehfischa.

Jeden z wybitniejszych autorów młodszego pokolenia w Niemczech, H. J. Rehfisch, napisał sztukę, graną ostatnio w Berlinie, w której przedstawia życie Pietra Aretina.

Według relacji sprawozdawców, Rehfisch nie potrafił należycie opanować ciekawego tematu i sprostać wielkiej postaci renesansowej poety włoskiego.

ODPOWIEDZI

Jan St. Zaleszczyki: Z tego rodzaju wierszów nadsyłanych do redakcji pańskie nie są najgorsze. Jest w nich pewna siła, energja, brak jednak jeszcze szlachetnej formy poetyckiej. Powtarzamy to na tem miejscu wiele już razy: Tak zwany temat podniosły patriotyczny nie tylko nie może być usprawiedliwieniem błędów formy, lecz przeciwnie — wymaga formy potężnej wielkiej. Nie osiągnął Pan tego w nadesłanych nam utworach.

Józef K. Łódź: A skądże też Panu przyszło do głowy starać się na tej drodze o posadę ślusarza? Nie rozporządzamy tego rodzaju posadami i nic Panu pomóc nie będziemy mogli.

Zygmunt Sz. Jarocin: Pisze Pan „do sąsiednich włosi". „Wieś staje się włościami gdy tego nagle potrzebuje rym. Łóżko staje się wezgłowiem — jeżeli trzeba łóżko rymować z pogotowiem. Czy nie razumie Pan, że poezja taka nie może być wiele warta! Przecież to zupełnie taksamo, jak gdyby Pan miał iść, dajmy na to, na lewo, ale dla równowagi wadliwie zbudowanego korpusu skręcał ciągle na prawo? Ci ludzie czekają na Pana we właściwem miejscu, nigdy się Pana nie doczekają. Taksamo nie może doczekać się Pana pańska poezja.

E. Ol. Przekonania pańskie dzielimy całkowicie, niestety, forma poetycka użyta przez Pana nie może w odpowiedni sposób odtworzyć tych przekonań. Należało użyć formy artykułu politycznego. Może sprobuje Pan sił?

Dr. Z. Sz. Widocznie pisarzów nie interesuje ten rodzaj zagadnień. Uważamy je za kapitalne, pierwszorzędne, — jakże jednak mamy przełamywać tę obojętność?

Wł. Goetz... Oczywiście, — nie przejmować się, miło nam, że na tej podstawie możemy Panu wyjawić prawdę: Otóż wedle nas nadesłane poezje nie posiadają żadnej, ale to stanowczo żadnej wartości. Pisząc o wrogach naszej Ojczyzny mówi Pan między innemi: — I dziś wichrzyciel nie najeża kłaków. „Ach, Panie, niechby już raczej ów wichrzyciel najeżał te kłaki swoje (kłaków — Polaków) byleby Pan nie pisał tych straszliwych wierszy!

St. Bał. Poznań: Nie podaje Pan swego adresu w swym liście do nas. Tymczasem mam dla Pana pieniądze. Nadesłany utwór przeczytamy niebawem i postaramy się podzielić z Panem naszemi wrażeniami.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *TADEUSZ HIŻ*

Drukarnia Artystyczna, N.-Swiat 47.

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.